Nr 31. Kraków, 4 Sierpnia 1894. Rok IV.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

KATEDRA NA WAWELU.

(Ciąg dalszy).

W nawie głównej wraz z poprzeczną było niegdyś oprócz ołtarza św. Stanisława, o którym już mówiliśmy, innych ołtarzy sześć, dziś jest ich pięć. Cztery z nich opiera się o filary, dzielące nawę główną od naw bocznych. Zbudowane zostały w przeszłym wieku z czarnego marmuru wszystkie według tego samego wzoru tak, iż jeden od drugiego pod względem budowy niczem się nie różni. Ponad mensą ołtarza wznoszą się na marmurowej podstawie dwa kręte śrubowato filary, dźwigające wycięty tympanon*); między filarami jest umieszczony obraz tego świętego, któremu ołtarz poświęcony, a u szczytu nad tympanonem drugi mniejszy obraz innego świętego lub świętej. Główne obrazy w tych ołtarzach są pędzla Tadeusza Konicza, Krakowianina, jednego z najznakomitszych malarzy polskich przeszłego wieku.

W chłopięcych latach pełnił on posługi kuchenne na dworze Biskupa krakowskiego Andrzeja Załuskiego, który spostrzegłszy w nim zdolność do rysunku, oddał go do szkół i wysłał własnym kosztem do Rzymu na naukę malarstwa. Z czasem tak dalece zasłynął z obrazów, któremi naszą Katedrę przyozdobił i z innych, iż sława jego doszła do uszu ówczesnego króla hiszpańskiego, który go powołał do siebie na nadwornego malarza.

Przypatrzmy się obrazom, zdobiącym cztery pierwsze ołtarze nawy głównej; wszystkie przedstawiają śś. Patronów naszego narodu: z prawej strony śś. Wyznawców, z lewej św. Męczenników.

W pierwszym ode drzwi głównych z prawej strony ołtarza widzimy w szatach zakonnych klęczącego w modlitwie do Najświętszej Panny, otoczonej chórem aniołów, świętego Wincentego Kadłubka, Biskupa krakowskiego, który w późniejszym wieku wstąpił jako prosty zakonnik do klasztoru Cystersów w Jędrzejowie i tam w r. 1223 świątobliwego dokonał żywota.

Drugi po tej stronie ołtarz mieści w sobie obraz św. Kazimierza, królewicza polskiego, syna Kazimierza Jagiellończyka. Ubrany w strój narodowy, z karabelą przy boku, klęczy on na stopniach ołtarza we wspaniałej, królewskiej komnacie ze złożonemi rękami, pogrążony w modlitwie. Przy stopniach ołtarza siedzi z miseczką w ręku pół nagi ubogi, których on hojnemi jałmużnami żywił i odziewał, odmawiając sobie dla chwały Bożej wszelkich wygód i przyjemności. Z tyłu poza św. Kazimierzem widać wchodzących panów w bogatych strojach, niosących mu płaszcz królewski. To zapewnie posłowie węgierscy, którzy przybyli ofiarować temu świątobliwemu młodzieńcowi tron i rządy swego narodu. Lecz on gardzi temi darami, bo on pragnie innego królestwa!

W pierwszym ołtarzu z lewej strony stoi św. Floryan, żołnierz rzymski i męczennik za Wiarę Chrystusową, patron od ognia. Cały okryty zbroją żelazną trzyma w prawej ręce chorągiew wojskową, a lewą wskazuje na pożar, który gasi aniołek, lejąc wodę z wiadra; drugi czerpie do gaszenia wodę; w górze unoszą się inni aniołowie, spieszący na pomoc. Gdzieś w dali w szczerem polu ledwie dostrzega oko zwłoki zmarłego, których strzeże orzeł: to przypomnienie męczeńskiej śmierci św. Floryana, którego starosta rzymski kazał za Wiarę świętą najprzód katować, a potem w rzece Anizie utopić; ale święte zwłoki woda na brzeg wyrzuciła, gdzie ich strzegł orzeł od zwierza, dopóki ich nie pogrzebiono.

Inny widok uderza oczy nasze, gdy się zbliżymy do następnego ołtarza: Tu św. Wojciech ponosi śmierć męczeńską od tych, którym głosił zbawienie. Właśnie, kiedy ubrany w szaty biskupie głosi prawdziwą naukę, napadają go pogańscy Prusacy: jeden rani go mieczem z tyłu, drugi z przodu dzidą go przebija. Straszne wrażenie wywiera ten widok na obecnych, którzy zgromadzili się, aby słów Bożych słuchać: na twarzach wszyst-

*) Co to jest tympanon, powiedziano w 29 numerze *Krakusa* str. 6.

kich, i starszych i dzieci, maluje się litość i przerażenie, jeden z mężczyzn chwyta się za głowę, niewiasta pada blizko stóp Świętego ze strachu na ziemię.

Piąty ołtarz w tej części Katedry, której ołtarze opisujemy, stoi po lewej stronie oparty o filar, dzielący nawę poprzeczną od prezbiteryum. Jest on co do wieku znacznie starszy od wyżej opisanych ołtarzy. Zbudowany w tym samym stylu i w tej samej epoce, w której Biskup Gembicki wznosił w Katedrze wielki ołtarz. Ponad mensą między parą gładkich kolumn z czarnego marmuru, nakrytych wyciętym szczytem, widzimy obraz, przedstawiający męczeństwo św. Jana Ewangielisty. Cesarz rzymski Domicyan, słysząc i o pracy apostolskiej i o cudach św. Jana, kazał go przed siebie do Rzymu przyprowadzić; a gdy go żadnemi pogróżkami nie zdołał skłonić do wyparcia się Chrystusa, skazał go na śmierć męczeńską, aby go w kotle w oleju usmażono. Tę właśnie chwilę przedstawia obraz. Na bogatym tronie siedzi cesarz Domicyan w koronie, wydając katom rozkazy. Naprzeciw tronu w kotle, na trzech nogach wspartym, św. Jan. Liczni kaci jedni ogień pod kotłem palą, drudzy z góry na Jana św. olej naczyniami leją. Tłumy gawiedzi, która się zewsząd zbiegła, napróżno wyczekują męczarni Świętego: jego Bóg strzedz kazał aniołom, którzy się nad nim z wieńcami w ręku unoszą, aby mu się nic złego nie stało.

W nawach bocznych, a mianowicie w tej części, która otacza prezbiteryum, było w czasach Jagiellońskich dziewięć ołtarzy. Wszystkie uległy zniszczeniu, a na miejscu czterech z nich wystawiono w XVII tym i XVIII-tym wieku inne, które po dziś dzień można oglądać.

W nawie, biegnącej poza wielkim ołtarzem, opierają się o ścianę, stanowiącą tylne zakończenie kościoła, trzy ołtarze z czarnego marmuru, zbudowane w wieku XVIII-tym, z obrazami pędzla Tadeusza Konicza. — Z dwóch skrajnych, skromniejszych, bez kolumn ołtarzy północny mieści w sobie obraz św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus, południowy św. Jacka, wynoszącego w cudowny sposób z gorejącego kościoła Dominikanów krakowskich posąg Matki Boskiej i Sanctissimum z ołtarza. Ołtarz środkowy, daleko ozdobniejszy, z dwoma gładkiemi kolumnami i antipedyum, wykładanem kolorowemi marmurami i przyozdobionem w środku mozaiką t. j. obrazem, złożonym z różnokolorowych kamyków, jest poświęcony patronowi Katedry, świętemu Wacławowi księciu czeskiemu i męczennikowi. Obraz w ołtarzu przedstawia św. Wacława, stojącego w zbroi, na którą zarzucony jest płaszcz purpurowy z gronostajami, z dzidą w ręku; przed nim leży na stole mitra (czapka) książęca; z góry anioł niesie mu wieniec i palmę męczeńską.

(C. d. n.)

Kilka uwag w sprawie uregulowania i podniesienia handlu zwierzętami w kraju.

Urządzenie targowic zwierzęcych we wszystkich miejscowościach targowych kraju, założenie zakładów obserwacyjnych w Białej i w Krakowie dla trzody

Jak mi się wiodło w Warszawie?

— Tak Mości Dobrodzieju, żebyś wiedział — wcale ciekaw nie byłem Warszawy — ano tylko wstyd mi było potroszę, że człek całe życie nie był w stolicy.

Więc ja mój Mości, napisawszy testament, zdawszy gospodarstwo na mego wychowanka, zaopatrzywszy się należycie w suknie, żeby przecie w stolicy przystojnie wystąpić, potroszę w mięsiwa, drób i rośliny, boć dawno wiem o figlach hotelowych, co za kości, które u mnie wyżeł ogryza, każą sobie sumy płacić bajońskie Mości Dobrodzieju, wziąwszy także ze sobą serki sławne z kminkiem, i miody, dla moich dwóch tu mieszkających dawnych, jeszcze z błot pińskich znajomych przyjaciół, wybrałem się do waszego miasta.

No! nie ma co mówić — zdaleka pokaźne, wspaniałe — ale zbliska Mości Dobrodzieju, tfu — niech was kaci!

— Jakto? — przerwałem oburzony — nie piękne?

— Nie to — nie, tylko posłuchaj. Zajeżdżam ci do hotelu — jak się tam nazywa, to mnie nie obchodzi — dość, że hotel duży, masa w nim wrzawy i hałasu. Dalibóg myślę sobie, taż tu trudno będzie pacierza zmówić spokojnie! ale zachciałeś raz panie bracie — masz! Złażę sobie z kałamaszki, aż tu cała psiarnia huzia na mnie; jeden za konie, drugi za tłomoki, trzeci za moją kapotę, czwarty dalibóg poważył się wziąć mnie za ramię. Hejże wara mi złodzieje! oganiam się sękatym kijem, któremuś tam guza wlepiłem Mości Dobrodzieju, aż i trochę ochłódli. Pytam się: „a wy co za jedni?“

— Kelnery Jaśnie Panie! — wrzasnęli chórem.

— Tak mi trza było gadać! — Dałem tam coś temu, co guza oberwał, i idę w dziedziniec.

— Jaśnie Pan — wiele sobie życzy pokoi? — pyta mi się jeden.

— A wieleżby bałwanie? — mówię mu z flegmą, choć mnie gniewa takie zapytanie.

Wleźliśmy do jakiejś malutkiej dziurki, brudnej i obdartej.

— A cóż to się za tę dziurę płaci?

— Tylko 2 złote dziennie, prócz usługi, światła i pościeli. Patrzcie państwo — myślę sobie — on to

chlewnej, przeznaczonej na wywóz za granicę, i ustanowienie nadzoru targowego na wszystkich targach zmierzało do polepszenia stosunków weterynarno policyjnych w kraju, a pośrednio i do podniesienia handlu bydłem i nierogacizną. Handel ten bardzo przedtem zmalał, bo z niedowierzaniem spoglądano za granicą na nasze bydło, wśród którego szerzyły się zarazy.

Obecnie w kraju naszym zarazy zwierzęce zostały ograniczone do kilku miejscowości tak, że najwyższe władze we Wiedniu stawiają obecnie zabiegi Galicyi innym krajom koronnym za wzór uregulowania stosunków weterynarno-policyjnych.

Spędy zwierząt na jarmarkach z roku na rok się powiększają. W jednym powiecie bocheńskim doprowadzono w roku 1892 na targi bydła 26.830 i nierogacizny 48.964 sztuk, w roku 1893 zaś spędy te doszły do liczby 29.582 sztuk bydła i 62.781 sztuk nierogacizny. Cyfry te dowodzą, jak ważną gałęzią gospodarki krajowej jest hodowla zwierząt i jak ważny jest dla kraju handel bydłem i nierogacizną.

Mimo korzystnego stanu zdrowia zwierząt w kraju, mimo zasłużonego obecnie zaufania do naszych urządzeń weterynarno-policyjnych i mimo znacznych spędów zwierząt na targowicach, handel bydłem i nierogacizną nie rozwija się przecież pomyślnie i koniecznie wymaga uregulowania.

Główną wadą handlu zwierzętami jest nieracyonalna sprzedaż bydła i trzody chlewnej na oko, a nie na wagę. Wskutek tego bowiem jedna strona zwykle bywa pokrzywdzoną. Cena bydła i nierogacizny powinna zależeć od wagi zwierzęcia, szczególnie u zwierząt przeznaczonych na rzeź, u zwierząt zaś użytkowych, na chów przeznaczonych, wartość ta powiększa się w miarę większej wartości handlowej, która znowu zależy od zalet rasy. Zachodzi zatem konieczna potrzeba urządzenia wag bydlęcych na wszystkich targowicach w kraju i ustanowienia zaprzysiężonych wagmistrzów dla pewności, że tylko rzeczywista waga zwierzęcia bywa podawaną.

Nie ulega wątpliwości, że z czasem ludność wiejska, w razie istnienia wag na targowicach, przed sprzedaniem zawsze się przekona, ile to zwierzę waży, przekona się, jaka jest rzeczywista cena targowa za kilogram żywej wagi i na tej pewnej podstawie, bo na podstawie rzeczywistej wagi, zwierzę spienięży.

Cena bydła opasowego i rzeźnego na mniejszych naszych targach stosuje się do cen na znaczniejszych targach bydła w Wiedniu i w Pradze, cena nierogacizny do cen targowych w Białej i w Krakowie. — Potrzeba zatem, aby na targowicach w widocznem miejscu była podaną ostatnia cena targowa znaczniejszych targowic wyżej wymienionych.

Zdarza się często, że hodowca zmuszonym jest prowadzić kilkakrotnie swe bydło na targ dla braku kupca z innych prowincyj, podczas gdy miejscowi handlarze i tak zwani „przelewacze“ zazwyczaj bardzo niskie ceny ofiarują. Główną przyczyną tego, że kupcy z innych prowincyj na targi nasze tak mało uczęszczają, jest nieświadomość, kiedy się one odbywają. Targów zresztą w naszym kraju jest wiele, ale niejednokrotnie

---

nazywa tylko, a toż jabym całe skrzydło mego dworu taniej odstąpił komu, i dałbym mu już własną pościel, gdyby już na to — broń mnie Panie przyszło.

Golę się zwykle sam, ale że mi Walek na puzderku z brzytwami przez całą drogę siedział, a bywały miejscami wyboje i wertepy, więc mi je połamał niecnota; tak — posyłam ja po golarza. Czekam, czekam, aż mi w żołądku mruczy, bo człek nic nie jadł parę godzin, a chciałoby się co ciepłego. Włazi mi nareszcie jakiś konfident, ale brudny, ale pijany! Gorzała buchała mu — panie odpuść z gęby, jak para z lokomotywy, milcząco zakasał zatłuszczone rękawy, wyjął tam coś z kieszeni, naplułi zaczął palcami rozrabiać. Po chwilce z umydlonemi paluchami — zbliża się, jak mi Bóg miły — do mnie. Jedną ręką chwyta mnie bez ceremonii za czuprynę, a drugą omydloną kładzie mi na policzki. Ejże — jak mu nie dam na odlew!

Uważasz mój Mości, żeby mi się pijak brudnemi łapami oblicza dotykał? A! strach! Wygoniłem na cztery wiatry i tylko przewdziawszy bieliznę i suknie, poszedłem szukać pierwszej lepszej garkuchni.

Co prawda to prawda — dopiekało z nieba piekielnie. Na szczęście chronił mnie słomkowy kapelusz z ogromnem rondem, co mi i podczas zimna znakomicie służy. Ale cóż mnie mogło ochronić od przeklętego żaru, co mnie piekł z pod spodu? A! niechże was piorun, cóż wy to za bruki macie? A toż u nas w pierwszem lepszem miasteczku już nie tak twardo pod nogami — a choć tam nie mam posadzki, to przynajmniej mam miękko; bo juściż wolę Mości Dobrodzieju błoto od starego krzemienia. Ledwiem się zawlókł panie Boże, co krok utykałem, co krok kaleczyłem nogę, myślę też zaraz sobie: dobrze ci tak, zachciało ci się na stare lata zbytków, stolicy oglądania, jakby się to bez tego obejść nie było można. Wydasz trochę grosiwa, zedrzesz buty i nogi, a cóż nowego zobaczysz?

Takem sobie dumał, idąc przez jakąś okrutnie długą ulicę, patrzę ciągle na szyldy, czy gdzie nie zobaczę wielkich liter: „garkuchnia“, lub przynajmniej kucharza wymalowanego z miską lub rondlem w ręku, albo jakichś innych symbolów, co najlepiej rzecz oznaczają, jak to jest naprzykład u nas w miasteczku, gdzie na szyldzie dwóch kucharzy trzyma za nogi wie-

się zdarza, że w bliskich miejscowościach sąsiednich, a nawet tych samych powiatów, targi w ten sam dzień się odbywają.

Dla usunięcia tych niedogodności powinno się uregulować dni targowe przynajmniej w większych miejscowościach, szczególnie w miastach powiatowych w ten sposób, aby w tygodniu, w którym odbywa się targ w jednem mieście powiatowem, nie było targów w sąsiednich miastach powiatowych. Wskutek takiego uregulowania dni targowych spęd zwierząt znacznie się powiększy, a kupcy przybędą z zagranicy, bo potrafią zakupić i dobrać sobie potrzebną ilość bydła. Z powodu małych spędów musi kupiec dla zakupienia potrzebnej ilości zwierząt mieć na kilku targach pośredników, którzy dostawiają mu zamówionych sztuk po pewnej, stałej cenie. Ci więc obniżają ceny zwierząt, aby z różnicy cen ciągnąć jak największe zyski. Ogłaszanie w gazetach dni targowych i spędów zwierząt powinno być obowiązkiem gminy, w której targ się odbywa. Gazet takich, poświęconych wyłącznie sprawom handlu zwierzętami, dosyć istnieje i w kraju i za granicą. Im więcej przybywa kupców z zagranicy lub sąsiednich prowincyj, tem korzystniejsze są ceny bydła. Ogłaszanie spędów zwierząt na targach i ogłaszanie dni targowych od roku zastosowano w Bochni. Skutek okazał sie ten, że w ciągu bieżącego roku przybywali do Bochni kupcy na zakupno bydła ze Szląska, Czech i Morawy.

Handel nierogacizną najwiecej utyka, a to z tego powodu, że nie ma ustalonej taryfy dla przewozu nierogacizny koleją. Handlarz przeto nie potrafi z góry obliczyć, ile kosztować będzie transportowanie zakupionej trzody.

Na kolejach są obecnie dwa sposoby obliczania cen przewozu nierogacizny. Albo opłaca się powierzchnię wozu kolejowego w metrach kwadratowych i odległość w kilometrach bez względu na ilość i wagę załadowanej nierogacizny, albo też według wagi pojedynczych sztuk.

Obliczenie kosztów transportowych według powierzchni wozu jest już z tego względu niewłaściwe, że handlarz celem zmniejszenia kosztów przewozu stara się załadować jak największą ilość świń na możliwie najmniejszej powierzchni. Wskutek tego często zdarzają się wypadki uduszenia zwierząt na kolejach z powodu przeładowania wozu. Następnie i dlatego, że nie uwzględniając wagi i ilości załadowanej nierogacizny, transport warchlaków kosztuje znacznie drożej, niż transport świń starych, chudych lub tucznych. W wozie kolejowym o dwóch piętrach i powierzchni ładunkowej 32 m. kwadr. można załadować do 100 warchlaków 3.000 klg. wagi, lub 70 świń chudych 4.200 klg. wagi albo 50 tłustych 8.500 klg. wagi. Już wzgląd ten, że od transportu 3.000 klg., więc znacznie mniejszą wartość przedstawiającego, płaci się tyle, ile za transport 8.500 klg., dwa razy wartającego, przemawia przeciw temu sposobowi obliczenia.

Drugi sposób obliczenia ceny przewozowej polega na rozgatunkowaniu pojedynczych sztuk według wagi, a mianowicie: na prosięta po 20 klg., warchlaki po 30

---

prza, jeden ze łba kraje głowiznę, a drugi z drugiego końca kiełbasy.

Jest to dokumentnie wymalowane i wypisane i już się człek po miasteczku z głodnym żołądkiem wodzić nie będzie. Tem bardziej to w tak wielkiem mieście być powinno. Ale gdzie tam! chodzę i chodzę, aż się pytam nareszcie jakiegoś fanfarona, wystrojonego jak lalka: — Mój Mości — a gdzie tu garkuchnia? Popatrzał na mnie z taką postpozycyą, żem go aże sękaczem chciał ściągnąć, rozśmiał się i poszedł dalej. — Wielki magnat! myślę sobie — i pytam się drugiego skromniej już odzianego.

No, ten się także uśmiechnął, ale grzecznie zaprowadził mnie nawet przed jakiś dom, gdzie na szyldzie złotemi literami stało: „Restauration“. Któżby się był domyślił, że będzie napis po francusku.

Nie ma co mówić, sala gdyby balowa — jasna, duża, na podłodze ślizko, jak u mnie na stawie, gdy 28 stopni mrozu — firanki piękne z kutasami czerwonemi u okien, ładnie wiszą niby węzełki od bukietów, kanapy także miękkie, jak się siędzie, to się aże człek huśta na sprężynach — ładne to wszystko, ale niepotrzebne, ale zbytki! No i drogie pewnie, pomyślałem lecz żem się chciał o wszystkiem przekonać dowodnie, więc siadam.

Wystawże sobie mój Mości — siedziałem tak ani mniej, ani więcej, tylko dobre półgodziny, i nikt się nawet o mnie nie spytał. — O! to chwalę ja sobie u nas — tam, ledwie wejdę do pana Faryny, zaraz mnie obskoczy i on sam i jego żona i Basia, Joasia i wszystko mi Mości Dobrodzieju ochotnie służy.

Zniecierpliwiony wreszcie (chociaż chciałem tak jeszcze siedzieć, żeby się przekonać, czy to długo potrwa) wołam sobie: — Jest tam kto? — raz i drugi. Zjawia się nareszcie jakiś wymuskany fagas we fraku, zbliża się do mnie, wykrzywiając mordą, jak szewc kopytem — i cedzi:

— Pan wołał?

— A cóż to sobie obwiesiu myślisz — mówię mu — to ja tu siedzę już pół godziny, a ty ani zajrzysz?

— Mało to mam do roboty — odrzekł mi z pańska — czego sobie pan życzysz?

— Jeść! — wrzasnąłem wściekły.

Obrócił się na pięcie i przyniósł mi ze stołu, wy-

klg., chude 60 klg. i tłuste 170 klg., przyczem sztuki, ważące 25 klg., są uważane za warchlaki, ważące 35 klg. za chude, zaś ważące więcej jak 90 klg. za tłuste. Według tego obliczenia handlarz musi płacić za przewóz świni ważącej 35 klg. jako za świnię wagi 60 klg czyli więcej o 25 klg., następnie za świnię 91 klg. wagi jak za świnię 170-kilogramową, to jest więcej o 79 klg. Przy znacznej ilości sztuk i znaczniejszej przestrzeni różnica wagi, poddanej opłacie, znacznie przewyższa wagę rzeczywistą, cena przewozu zatem staje się niestosunkowo wysoką. Rozgatunkowania przy ładowaniu dokonują urzędnicy kolejowi na oko, bez wagi. Takie ocenienie wagi zwierzęcia z wejrzenia wymaga długoletniej wprawy, której nabyć mogą kupcy i rzeźnicy, ale urzędnicy kolejowi do tego naturalnie mało są uzdolnieni. Wskutek tego więc handlarze muszą czasem opłacać znacznie więcej za przewóz transportu i ponoszą straty pieniężne, które stanowiłyby nieraz pożądany zysk. Istnieje wprawdzie przepis, że na żądanie handlarza każda pojedyncza sztuka nierogacizny ma być na wadze osobno zważoną. Sposób ten ten jednak już przy średnich transportach jest bardzo uciążliwy i prawie niewykonalny. Każdą pojedynczą sztukę należy położyć na wadze. Wymaga to dużo czasu i wielu ludzi, a przy przewracaniu i nakładaniu świń wydarzają się częste wypadki złamania lub wywichnięcia nogi zwierzęcia.

Przy tem postępowaniu handlarze zdani są na widzimisię dotyczących urzędników kolejowych, a ze względu, że obecnie prawie każdy transport nierogacizny dla kontroli ponownie bywa z wejrzenia rozgatunkowany przez kontrolorów kolejowych na stacyach w Białej i w Krakowie, niejednokrotnie handlarz dopłacać musi znaczne kwoty, a na urzędników stacyi nadawczej nakładane bywają dotkliwe kary pieniężne. Urzędnicy kolejowi nawet wbrew swojemu przekonaniu a dla uniknięcia kar podają większą wagę transportu, jak jest w rzeczywistości, lub też skłaniają kupców do poddania się droższej opłacie transportowej według powierzchni wozu. Utrudniają więc urzędnicy tem samem wywóz nierogacizny, a to tylko dla uchylenia się od niemiłego obowiązku rozgatunkowania czyli „taksowania“ świń. Wyrobiło się więc przekonanie u handlarzy, że na tej lub owej stacyi lepiej lub gorzej „taksują“; udawają się przeto ze swemi stadami nieraz do odległych stacyj kolejowych, pomimo że w miejscu targu, w którem stado zakupiono, znajduje się stacya kolejowa.

Pierwszy i drugi sposób obliczenia ceny przewozowej świń jest niewłaściwy, a handel z tego powodu znacznie cierpi i upada.

Najwłaściwszym sposobem ustanawiania cen za przewóz nierogacizny byłaby opłata na podstawie ogólnej a rzeczywistej wagi całego transportu, co dałoby się uskutecznić szybko i bez trudu, ważąc cały transport odrazu na wagach pomostowych, które należałoby urządzić na wszystkich stacyach kolejowych, upoważnionych do ładowania nierogacizny. Przy tej procedurze ani handlarze nie będą pokrzywdzeni, ani też kolej nie poniesie strat materyalnych. *Z. F.*

---

staw sobie mój Mości — jakąś książeczkę czerwoną w złocone ramki oprawną, na klamry zapinaną, i podaje mi ją z flegmą, jak Boga mego kocham — z flegmą!

— A mnie to na co durniu? — pytam, hamując się ile możności.

— Pan tam znajdziesz! — znów odrzekł, cedząc i zostawiając mnie samego.

Kipiało we mnie ze złości. — To tu sobie z ludzi kpią! jak uważam! — ale otwieram mimo to książkę. Zaglądam, jakieś druki cudzoziemskie, jakieś dziwne nazwiska, znów pewnie po francuzku. Tak ja wołam: — Jest tam kto? — Wchodzi ten sam papinkowaty wymoczek, staje przedemną i milczy. Aż ja mu książkę pod nogi: — Jeść mi dawaj, nie literaturę, rozumiesz?

Wybałuszył na mnie oczy, potem szepnął:

— To pan nie z karty?

— Skąd jestem, czy z Pińska, z Warszawy, czy z Karty, to tobie durniu djabli do tego, ty mi tylko jeść dawaj!

Dopiero po tak dobitnem przemówieniu przyniósł mi jakiejś słodkiej zupy, jakiegoś jak go nazwał frykasa francuskiego z marmuladą, co nic innego nie było, tylko stare kogucisko z tartem jabłkiem i dwa pączki z wiśniami, co także nazwał po swojemu. Barszczu zaś z rurą, ani zrazów z kaszą, tom się za żadną cenę nie mógł doprosić.

Czczo mi było po tem całem jedzeniu, lecz rachowałem na szczęśliwą gwiazdę, która mi może wskaże, gdzie szyld jaki z kiełbasą, tobym tem poprawił. Wstaję więc i pytam: — Co się należy?

Zwraca mi się znowu ten sam na pięcie, siedz z kwandrans i przynosi mi na srebrnej tacy świstek nibyto rachunek.

Czy uwierzysz Mości Dobrodzieju, wiele szelma narachował? 14 złotych i coś jeszcze groszy! A tożbym ja 4 gęsi i dwoje kurcząt kupił u nas za te pieniądze a pewnieby mi żaden kundel nie podawał książki wtedy, gdy mnie się jeść chce.

(Dokończenie nastąpi).

Kuba i Marek
o zabudowaniach wiejskich.
(O wpływie mieszkań na zdrowie).

M. Rozważałem z moimi sąsiadami to wszystko, coście zeszłej niedzieli o domach mieszkalnych w innych krajach opowiadali i bardzo się to wszystkim podobało. Człowiek bowiem, najpiękniejsze stworzenie Boskie na ziemi, na obraz i podobieństwo Boskie stworzony, powinien się o to starać, by przyzwoicie i schludnie mieszkał.

K. Słusznie mówicie. Ale są jeszcze i inne powody do tego, by nasze chaty trochę inaczej budować. „W zdrowem ciele zdrowa dusza“ pisują uczeni ludzie po książkach. To zdrowie, to nieoceniony skarb. To największy majątek, bo cóż z chłopa, jak nie ma zdrowia i siły? Jak tu charłędze wziąść kosę lub cepy do ręki? Jednak to zdrowie i siły zależą nie tylko od tego, jak i czem się żywimy, ale i od tego, jak mieszkamy, jakiem powietrzem oddychamy. Wszak i rośliny w cieniu mdłe i słabe, gdy ich słońce dobrze nie oświeca. Wszak i robaczek, zamknięty we flaszeczce ciasnej, ginie. Dzieci Maćkowe, przed dwoma laty bawiąc się w kryjówki, zawarły się do skrzyni. Skrzynia się zamkła i nie mogły się wydostać i po paru godzinach już nie żyły, bo im brak było powietrza. Tak widzicie, ważną rzeczą jest to powietrze, którem oddychamy; ważną bardzo jest i światło słoneczne, co ogrzewa i wysusza. Więc jeżeli w mieszkaniach naszych biedujemy bez wielu rzeczy, jeżeli nie możemy troszczyć się o wygody i ozdoby jako biedaki, jeżeli nas nie stać często i na ozdobne obrazy, to przynajmniej nie powinniśmy żałować mieszkaniom naszym światła słonecznego i powietrza świeżego podostatkiem, bo nas to przecie nic nie kosztuje i za darmo nam obficie Pan Bóg daje. Gdy na polu piękna pogoda, to i w duszy naszej weselej i cały człowiek zdrowszy się czuje. Gdy zaś mglisto, posępno, zimno, to człowiekowi jakoś smutno; cały kwaśny, ziewa, przeciąga się i do niczego nie chce mu się zabrać.

M. O! prawdę też to mówicie. Mnie jeszcze gorzej się robi, jak tak na polu niewyraźnie. Zaraz mi gościec wlezie w łopatki i w łokcie i drze mnie nielitościwie.

K. To nas też dobrze przekonywuje, że w chałupach naszych nie może być mglisto i posępno. Mglisto jest, gdy wilgoci jest kupa. Posępno, gdy przez małe, a do tego brudne, aż okropa, okna, światło Boże przedrzeć się nie może. To też nic dziwnego, że w takich mieszkaniach to i w głowie jest ciemno i w sercu ponuro, smutni i podejrzliwi się stajemy. Dzieci nasze, zwłaszcza w porze zimowej, kawęcieją i siednieją, a często i głupieją. Nauczyciel opowiadał mi kiedyś, że dzieci wiejskie są tak przygnębione i takie ciężkie mają pojęcie w głowie, że niepodobieństwem jest nauczyć tego na wsi, co się w miastach potrafi. Wysokie Rady szkolne przekonały się o tem, że tak jest akurat i dlatego już teraz obmyślеli inne książki dla wiejskich dzieci i trochę odmienniejsze przepisy dla nauczycieli wiejskich. A ja wam mówię, że oprócz innych przyczyn niemało winny temu nasze mieszkania wilgotne, ciasne, ciemne i pełne zaduchu i brudu!

M. Święta prawda! Ja to wszystko widzę na moich dzieciach. Jak przyjdzie wiosna, lato, kiedy latają po polu więcej, to zaraz lepiej wyglądają, a nauczyciel mówił, że i lepiej się nawet wtedy uczą. Skoro zaś w zimie siedzą w chałupie, to jakieś chore, blade, wymokłe jak śledzie, oczy podbite i czerwone i głowy ich bolą. Moja ciągle mówi, żeby chatkę przestawić, bo tu jakieś czary ktoś podłożył i nigdy zdrowia nie będzie. Stara Chrypina z pod lasa zażegnowała już nieraz, ale to nic nie pomogło.

K. Naszym babom trudno wybić z głowy te czary i tę Chrypinę, zażegnowaczkę. Czarów dziś nie ma żadnych. Zły duch mógłby wprawdzie zaszkodzić, wezwany od złych ludzi, ale i ten dziś zmądrzał i nie da się za nos wodzić rozmaitym wykrętom, jak było za Twardowskiego, sowizdrzała, co w powietrzu z nim furgał. Nie jakieś tam czary, ale ta wilgoć, ciemno i zaduch, czego w waszej chałupie podostatkiem, jest przyczyną tych wszystkich chorób.

M. No cóż zrobić z tą wilgocią! W lecie sucho aż miło, a jak przyjdzie zima, to leje się z okien, z powały kapie, ściany płaczą, już nie wiem, co radzić na to. Mówiliście mi, żebym dał rynny kolo chałupy, by woda z dachów nie podchodziła pod ściany i nie robiła wilgoci w calym domu. Zrobiłem to, ale i to mało pomogło.

K. Ta nieznośna wilgoć u was nie z pola przychodzi, ale w samej chałupie się wywiązuje z wody, co ją dzieci nachlapią po izbie, a najwięcej z garnków przy gotowaniu. Woda gotująca się kurzy się, nie prawdaż? Od gorąca urywają się kropelki wody, które jakby mgła rozchodzą się po izbie. Skoro się dotkną zimnej szyby lub ściany, skraplają się i osiadają na ścianie i oknie jako rosa, jak dajmy na to, w lecie podczas zimnej nocy widzimy na polu.

M. No to i cóż na to radzić — chyba żeby nie gotować?

K. Nie mówię, żebyście nie gotowali, choćby i kiełbasę, jakbyście mieli, ale możecie tak urządzić, żeby para z garnków nie rozchodziła się po całej izbie i nie robiła wam tyle szkody, tak budynkowi, który od takiej pary prędko gnije, jak i zdrowiu. Zróbcie sobie z desek taki parasol czyli okap nad kuchnią, zawieszony na haku lub podparty sztabą żelaza. W górze tego okapu zróbcie otwór do komina, zamykany na drzwi-

czki, które podczas gotowania otworzycie. Para z garnków i z wykipionych potraw zaduch pójdzie pod kapę i tym otworem wyleci do komina. Jednak tego otworu czyli lufcik nie dawajcie niżej ani wyżej od tego lufcika, którym dym wychodzi, boby nie paliło się dobrze, a czasem ten przeciąg, który pójdzie z pod okapu, wracałby dym z pod blachy, ale oba niech będą w jednakiej wysokości. Lufcik taki będzie wam służył i do przewietrzenia izby, ile razy by potrzeba była. Zwłaszcza na noc, gdy wszyscy śpicie, a drzwi się nie otwierają, wartałoby go zawsze otwierać, by nie brakowało świeżego powietrza.

M. Adyć u Kaspra, mojego szwagra, jest taki okap, a jednak, jak zima przyjdzie, leje się po ścianach i z powały, bo to z mrozu pochodzi a nie z pary.

K. I z mrozu i pary — jedno z drugiem idzie w parze. Kasper ma cienkie ściany, jak i w waszej chałupie. Nicponiowi nie chce się ich zaopatrzyć na zimę, więc mróz przeciąga. Ściana jest zimna, a para, której nigdy w izbie nie brak, bo i z wody i z naszych płuc przy oddychaniu wychodzi i w powietrzu zresztą zawsze się znajduje, styka się ze zimną ścianą i robi się rosa czyli ściana musi być mokra. Tak samo i na powale. Więc powiedzcie Kasprowi, niech oblepi ściany grubo gliną, namieszaną ze słomą siekaną lub plewami, a nie będzie mu mróz przeciągał. Aby mu ta glina nie odleciała, niech przedtem obije z kosa tykami całe ściany lub gęsto klinami, a będzie miał mocno na kilka lat. Powałę niech da nową, bo ta się mu już wali. Powała nie musi być z desek, bo ich nie ma i dużo kosztują, a prędzej się psują. Niech urąbie w swoim lesie okrąglaków, ot tak grubych jak moja noga. Gdy uschną, niech okręci je dokoła dobrze powrósłami tak, że staną się prawie o połowę przez to grubsze. Takie laty niech ułoży i zbije dobrze, by ściśle jedna do drugiej przylegała. Potem niech gliną dobrze i grubo oblepi z obydwóch stron, a powała będzie równa jak sufit, mocna, ciepła i trwała. Również mu powiedzcie, żeby i sień uczciwą zrobił. W jego sieni pełno jest śniegu i wiatr tam gospodarzy. Ile razy drzwi się otwierają z izby, wchodzi zimne jakby z pola powietrze, robi się rosa, że aż wyraźnie widać jakby dym. Stąd i zimno i wilgoć i wszelaka bieda. Tak i wy zróbcie z tą waszą starą chałupą, zanim nową wymurujecie, jak to macie postanowienie. Z nową się nie spieszcie, czekajcie, aż będziemy mogli przyjść do swojej cegielni w gminie, bo z drzewa nie warta dziś stawiać. Wójt mówił, że będzie się starał to jak najprędzej uskutecznić, żeby my w gminie taką rzecz mieli.

M. Dziękuję wam za doradę. Zrobię tak jak mówicie.

Nie będę malowanym wójtem.

Opowiedział
Wincenty B. z Czarnego Dunajca.

(Ciąg dalszy).

Tak mówił — a w duszy swej brudnej co innego knował. Na to drugie przemówienie nikt mu nie odpowiedział. Wrócono do przerwanych obrad o sklepiku rolniczym, który chwiał się z licznych powodów, a najbardziej z powodu konkurencyi (współzawodnictwa) arendarza i kilku żydowskich handlarzy, mających w ręku swoim cały obrót wiejskiego handlu w okolicy — i z powodu obojętności wielu gospodarzy, a nawet nieprzychylności pewnej części Rady gminnej z jej zwierzchnikiem i sekretarzem na czele. Pomimo jawnych trudności i walki, postanowiono większością głosów utrzymać sklepik, co niezmiernie nowego gościa niecierpliwiło. Słuchał z zajęciem, lecz milczał. Omylił się jednak w obliczeniu swojem, że będzie agitacya wyborcza, a stąd wypłynie dlań źródło obfite do buntowania jednych przeciw drugim. Swobodna bowiem przed jego przybyciem pogadanka przybrała w jego obecności szatę ostrożnego obradowania o sklepiku i Czytelni, o przewidywanym przednowku wiosennym i o bieżących sprawach z gazetek ludowych, jak *Krakus* i *Przewodnik Kółek rolniczych*.

To też po godzinie przysłuchiwania się opuścił salę szkolną kandydat na członka Kółka i Czytelni, wypożyczywszy sobie statuty w celu zaznajomienia się rzekomo z obowiązkami i prawami członków tych pożytecznych stowarzyszeń, jak się z przymileniem do nauczyciela wyraził. Boczną ścieżką pospieszył prosto do swego Mośka, aby się z nim podzielić zdobytemi nowinami. W osobnej izbie, zwanej przez arendarza: „dla lepszych gości“, czekali nań towarzysze i przyjaciele codziennych hulanek i wspólnicy szachrajstw.

— A, witajcież do nas, panie Antoni! — rzekł wójt, a za nim powitanie to powtórzyli inni dwaj wójtowie sąsiednich wiosek i kilku miejscowych radnych.

— Aj, pan sekretarz taki zdychany, nu, aż woda mu po gębie leje! Aj waj! co wun tam w tym kumitecie?

— Stul gębę, Mojsie, a dawaj bombę piwa, bo się spalę z pragnienia! — krzyknął pan sekretarz, rzucając się z sapaniem na kanapce.

— No, przecieżem ochłonął! — rzekł, wzdychając ciężko po wypiciu duszkiem dużej szklanicy. — Ale, niech mnie... tak się we mnie jeszcze trzęsie wszystko ze złości. Bo pomyślcie sobie panowie naczelnicy gmin i wy panowie radni, którym ja tak dobrze życzę i dla mnie uczonego siedzieć całą godzinę z głupcami i słuchać ich gadaniny! A toć oni mnie tam na „iks“ wykierowali. Posłuchajcie więc. Wchodzę do szkoły — tam

pełno ludzi. Za stołem proboszcz, nauczyciel i ten przemądry Skibka, co to mędrkuje, że: *włóż pracę w błoto, a będzie złoto.* To pewnie go tam gdzieś w rolniczej szkole w Czernichowie tego wyuczyli. No, ale słuchajcie dalej. Czytają, radzą to o tem, to o owem, a o tem, po co ja tam przyszedłem, nic a nic. To proboszcz, to znowu ten przemądry nauczyciel rozprawiają o zgodzie, o trzymaniu się za ręce przeciw wrogom Kółka i szkoły i uradzili: *dalej walczyć z przeciwnościami.* Albo oni mnie wykierowali i wykpili, albo ja narazie się nie połapałem i nie zrozumiałem, o co chodziło, gdy mówili, że „będą walczyć z przeciwnościami“. Teraz mi przychodzi światło do głowy, że to słowo *walczyć* znaczyło pewnikiem *zburzyć starą Radę gminną z jej zwierzchnością.*

— A jużcić, ono pewnikiem tak będzie, że to przeciwko nam radzili! — potakiwali słuchający.

— A, kiedy tak, to trzeba będzie opisać to do Starostwa, że się buntują przeciwko wójtowi i urzędnikom gminnym! — odezwał się podwójci.

— Niechby im zakazali schodzić się na rady do szkoły! — rzekł drugi — bo szkoła dla dzieci, nie dla komitetów.

— Dobrze radzicie kumie! — zachwalali inni.

— Ja o tem już bez waszej rady pomyślałem i wiem, co robić. Doniosę do Starostwa, a nawet i do Konsystorza o tem, że proboszcz zamiast pilnować kościoła, trudni się w Kółku handlem i buntuje gminę razem z tym przemądrym profesorem. Na niego doniosę do Rady szkolnej okręgowej i do krajowej — na dwie ręce — a zobaczycie, jak go stąd świsną od wakacyj. Opiszę ja go doskonale, jak on obowiązki swoje spełnia; szkołę zaniedbuje, a niby dla Czytelni lub Kółka rolniczego robi zgromadzenia i agituje przeciwko zwierzchności gminnej i ustawom rządowym.

— Ej, panie Antoni! nie zaczepiajcie proboszcza, ani nauczyciela, bo oni swoje obowiązki gorliwie spełniają, a że się prócz tego zajmują Czytelnią lub Kółkiem rolniczem, to przecie nic złego — ja myślę, że im tego nikt nie zabroni, bo są obywatelami jak każdy z nas! — odezwał się jeden ze słuchających, nie radny, ale sobie poczciwy gospodarz. — Za tę ich pracę i ofiarność winniśmy im tylko podziękowanie i wdzięczność, nie oszczerstwa i skargi!

— Aha, to wyście to im winni, ale nie my — przerwał oburzony Półpanek. — Ja mam swój rozum i wiem, co mówię i co robię, a niczyjego zozumu nie szukam!

— Ja się też z rozumem nie wmawiam, ale ostrzegam jako człowiek, ktoremu sumienie każe prawdę mówić — rzekł ów uczciwy wieśniak i wyszedł.

— A, niechże sobie poszedł! — rzekł wójt — będziemy mieli spokój i zrobimy swoje po dawnemu.

— A zrobimy, zrobimy! — wtórowali obecni radni i trącali się pełnemi szklanicami piwa. — Na zdrowie wasze panie naczelniku i wasze panie zastępco!

— A na zdrowie i wam panowie radni, którzy nas popieracie i z nami trzymacie! — rzekł wójt — trzymacie ze starymi.

— A bo też najlepiej w starych butach chodzić, bo nie gniotą! — rzekł z dowcipem wójt sąsiedniej wioski, który czytać nie umiał, ale na wójtowstwie trzymał się lat kilkanaście.

— To też połatamy te buty i będą dobre do chodzenia! — dodał drugi.

— Tylko trzeba coś poradzić zawczasu, bo nowe buty już szyją! — wtrącił trzeci.

— Ja już mam plan ułożony! — rzekł dumnie Półpanek.

— Ja wam, panie sekretarzu dodam jeszcze konceptu w tej sprawie o nauczyciela, bo wiem coś bardzo ekstra fajnowego*) Byłem przecie kapralem przy regimencie, to wiem, że pod naszym Cesarzem nie ma *gar nicht* egzecyrki po polsku, jeno *dajcz* (po niemiecku), a nasz nauczyciel, ot tak, po naszemu egzecyruje. To już z pewnością na troc (na złość, na przekór) Najjaśniejszemu. Abo nie?!

— A jużcić, że ono może i tak będzie! — rzekł podwójci, który często otrzymywał upomnienia szkolne za nieposyłanie dzieci do szkoły, był więc zły na nauczyciela.

— Aj waj! moje panowie! — wtrącił się arendarz, głaszcząc brodę niespokojnie. — Ja mam mojemu Abramka w gimnazyi, co wun chce być adwokatem. Ale wun mi opowiedziecz i witłumaczicz, że i tam te sztuki się uczą. Tate, mein Lejben, ta egzecyrka, to szkolne gimnastyka, co zgrabnoszczy i siły ciału daje. Mi to się uczymy, żeby chodzicz prosto i zgrabnie a miecz ciało tęgie do pracy, a potem kiedy i do wojny! Aj, aj, moje panowie, dajcie pokój z te egzecyrke bo to musi bycz, bo to prawo takie jest.

— Dobrze mówi Mojsiek — wtrącił się jeden z radnych. — Ale mnie się przecie zdaje, że na wsi te wymysły niepotrzebne.

— Co potrzebne, to potrzebne. Jest to przepisane paragrafami, że się chłopcy mają uczyć gimnastyki — odezwał się jeden z wójtów, dotychczas w milczeniu słuchający rozmowy. — I mnie to korciło, poszedłem więc do pana starosty i do inspektora szkolnego z tą sprawą i oni mi ją przełożyli tak, jak Mosiek tłomaczył. Lepiej więc o tem nic piszcie, bo się zewstydzicie sami.

---

*) Tu znowu z przykrością zauważyć się musi, że t. zw. urlopnicy, chcąc popisać się językiem niemieckim przekręcane wyrazy niemieckie i zwroty, używane w koszarach wojskowych, przynoszą na wieś i popisują się takowemi, z ujmą dla ojczystego języka. Takim najlepiej zaraz na to zwrócić uwagę.

— Aj, dobrze pan wójt radzi — rzekł Mojsie uradowany pochwalą. — I ja tak miszleć, żeby wun tego egzecyrka nie ruszać. Lepiej pomiślecz o wyborach gminnych, bo wun bedzi źle, jak go z miasta konwisarz przyjedzie i wun będzie wibory sam przeprowadzić, a wtedy...

— Co?! komisarz?! a ja od czego? — przerwał Półpanek. — My sobie damy radę bez komisarza. Niechno się wiosna zrobi, a ja raz, dwa, trzy! już mam wybory w moich gminach. Mam ja dobrze ukartowany plan.

— Aj waj! ja powiedziałem, że pan sekretarz, to wun ma rozum, to wun coś mądrego wimiślecz. Auf majne munes! dobrze pomiślecz, to złoto, a za złoto wszystkiemu kupić można. Na wiosnę: ten w polu, ten we świecie — co ich wybory bedzi mało intercsowacz! A przyjdzie który buntownik, to mu się bedzi obiecować drzewko z lasu, albo fure barłogu, a innemu się postraszycz egzekucyę — no, i w ten sposób będzie stary urząd dalej rządzić z honerem, a ci, co krzyczeli przed wyborami, będą piszczecz jak miszy pod piecem... — dodał z uśmiechem zadowolenia ze swego żydowskiego dowcipu.

— Dobrze radzicie arendarzu! — zachwalali jedni, a drudzy z powątpiewaniem głowami kiwali. Jeszcze późno w noc układali plany postępowania, a gdy się po północy rozchodzili dobrze podochoceni, przyrzekli sobie dozgonną przyjaźń i pomoc wzajemną.

— Ny, panie naczelniku i wy panie sekretarzu, pamiętajcie, że wun ja bedzi zaraz rano poślacz do lasu parę furek po te żerdkie, coście obiecali... — szeptał na odchodnem pan arendarz, pomagając gościom przy wyjściu z gościnnej izdebki.

— Dobrze, Mośku, tylko nie jutro, ale dopiero we wtorek, bo jutro mamy dzień jarmarczny, wiesz przecie gdzie. Trzeba się nam z wójtem tu i tam zakręcić — rzekł sekretarz. — Ale pojutrze, pamiętaj Mosiek, a zabierz co do lasu, bo klin klinem trzeba wybić — mnie tak uczyli. Rozumiesz Mosiek?

— Aj, dlaczegi nie mam rozumowacz? Mnie dziadek jeszcze uczył i w naszych pismach stoi napisane: Pamiętaj, abyś zawsze zwierzchnoszczy uszanował! — rzekł karczmarz, zamykając drzwi za gośćmi, którzy z ciężkiemi głowami i cięższą myślą o swych planach szli ku domostwom swoim, pomrukując na buntowników.

— Niech się kłócą i procesują te goje, a ja Mojsie będzi cicho siedziecz i godziecz obie i wszystkie strony i będzi mi z tem dobrze! — tak sobie marzył arendarz, umiejącz korzystać z przysłowia: „Gdzie się dwóch kłóci, ktoś trzeci korzysta“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości ze świata.

Z kraju i Monarchii. O gradobiciu z okolic Rzeszowa donieśliśmy już w poprzednim numerze *Krakusa* wkrótce potem doszła nas wiadomość o takim samym smutnym wypadku z okolic Kolbuszowej. Tego samego dnia, co i pod Rzeszowem, spadł tu grad olbrzymiej wielkości, bo jak ważono, jedno ziarnko miało 3 deka wagi. Cała okolica wygląda jak po wojnie. Strach pomyśleć, że w jednej chwili mieszkańcy tutejsi zostali biedakami. Zewsząd słychać tylko lament i narzekanie. Wójtkowie dotkniętych gmin udają się do starostwa z prośbą o odpisanie im podatków. Wszakże te plony, które mieli zebrać, miały być w przyszłym roku ich jedynem utrzymaniem, one miały starczyć im na opłacenie podatków, gdy tymczasem grad pozbawił ich tego wszystkiego w przeciągu jednego kwandransa, z czegóż więc będą żyli? Oto wsie, o których nieszczęściu do tej chwili zdołano się dowiedzieć: Brzezówka, Bukowiec, Domatków, Wola Domatkowska, Dzikowiec, Kolbuszowa dolna i górna, Werynia, Nowa Wieś. Nieszczęśliwym wyraża *Krakus* jak najgłębsze współczucie, tem więcej, że tamte okolice zna dobrze i wie, jak są biedne. Prosi też *Krakus* wszystkie władze i wszystkich dobrych ludzi o wsparcie i ratunek dla tych biedaków.

We Lwowie odbył się w tych dniach Zjazd pisarzy i dziennikarzy polskich. Najważniejszą sprawą, nad którą radzono, była niezawodnie sprawa oświaty ludowej w wszystkich dzielnicach Polski. W obradach nad tą sprawą brało udział wiele osób, między nimi X. Czermiński, redaktor *Missyj katolickich*, z Krakowa, X. Szymala ze Lwowa, p. Parczewski z Kalisza, p. Napieralski z Bytomia na Górnym Szląsku, redaktor *Katolika* poseł Michejda z Cieszyna na Szląsku austryackim, pp. Celichowski i Kozłowski z Wielkopolski, posłowie sejmowi pp. hr. Stanisław Badeni, Merunowicz, Lewicki Smarzewski, redaktorzy pism ludowych galicyjskich między nimi *Krakus* i t. d. Obrady trwały 9 godzin i powzięto wiele ważnych uchwał, które niewątpliwie przyniosą pożytek oświacie ludowej. Zakończyły się te obrady piękną nowiną, bo oto na ręce posła hr. Męcińskiego przysłał *Dr Stanisław Hassewicz* z Karlsbadu dziesięć tysięcy złr. na cele oświaty na Szląsku austryackim. Zgromadzeni przyjęli tę nowinę z wielkim zapałem i oddali cześć Drowi Hassewiczowi przez powstanie z miejsc. O wystawie zaczniemy pisać w następnym numerze, teraz powiemy tylko, że zwiedzają ją ludzie ciągle z różnych stron, tam na miejscu spotkał się *Krakus* z gospodarzami z jasielskiego powiatu. Trzeba powiedzieć, że i żydkowie nasi bardzo się interesują wystawą, widział ich tam *Krakus* dość, a zwiedzali nie tylko to, co ich może obchodzić jako handlarzy, ale także to, co obchodzi każdego Polaka bez wyjątku t. j

sławną panoramę czyli piękne uzmysłowienie bitwy Racławickiej.

Z pod rządu rosyjskiego. Z pod tego rządu dochodzą tylko smutne nowiny, a zwłaszcza z Litwy. Oto gubernator wileński nazwiskiem Orżewskij nakazał sądowi, który ma sądzić ofiary z Kroż, aby odroczył sprawę do września, gdyż on sam chce być obecnym na sądzie. Takiego bezprawia może się chyba tylko dopuścić Moskal. Gdzieindziej nie wolno żadnemu choćby najwyższemu urzędnikowi rozkazywać sądom, a cóż dopiero obecnością swoją wpływać na sędziów, aby ostrzejszy wydali wyrok! To też dziwić się należy, jak wyższa władza sądowa pozwolić może na takie bezprawne mieszanie się gubernatora do spraw sądowych. Orżowskiemu chodzi jedynie o to, aby sędziowie ze strachu przed nim wydali jak najsurowszy wyrok na ofiary katowane w Krożach. Oto nowinki z ziemi ucisku! Nie możemy gwałtom takim zapobiedz, ogłaszajmy je przynajmniej przed całym światem, aby świat ten wiedział, do czego zdolny jest Moskal, a jak to cierpieć umieją Polacy!

Francya. Uchwalono tu ostrzejsze prawa przeciw rewolucyonistom (anarchistom). Podług tych praw rewolucyonista będzie szedł przed zwykłe sądy, a nie przed sądy przysięgłych, niebezpieczni rewolucyoniści będą wywożeni na daleką wyspę, a surowo będą karani ludzie, którzy krzewią rewolucyjne zasady, czy to za pomocą pism, czy żywem słowem. Naturalnie wszystko to nie pomoże, jeżeli Francuzi nie zwrócą się do Boga i nie usuną tych praw, które naród ich czynią bezbożnym.

Chiny i Japonia. Między temi dwoma państwami, położonemi w Azyi na dalekim wschodzie, zanosi się na wojnę o *Koreę*. Ostatnie telegramy donoszą nawet, że wojna już wybuchła.

Korea jest to półwysep na wschodzie Azyi tak prawie wielkie, jak państwo włoskie w Europie. Z trzech stron oblany morzami: Chińskiem i Japońskiem, a z czwartej, od strony lądu, graniczy z Chinami i posiadłościami Rosyi (Syberyą). Kraj to górzysty, szczególniej na wschodzie, a w wielu miejscach skalisty, ma jednak bardzo bujną roślinność dzięki łagodnemu klimatowi. który przypomina klimat we Włoszech. To też ludności w Korei, jak na stosunki azyatyckie, jest tu bardzo dużo, bo około 9 milionów.

Korejczycy są ludźmi spokojnymi i pracowitymi. Rolnictwo jest ich głównem zajęciem. Uprawa ryżu stoi u nich na pierwszem miejscu, ale prócz tego mają plantacye bawełny, herbaty, mórw, na których hodują jedwabniki. Trudnią się rozmaitemi rzemiosłami; znają dobrze tkactwo i piękne jedwabie wyrabiają; rozwinięte jest u nich garncarstwo — wyrób porcelanowych i fajansowych naczyń.

Królestwo korejskie cesarzowi chińskiemu płaciło podatki. Drugi sąsiad, Japonia, najruchliwsze państwo azyatyckie, powoli zaczęło wysyłać swych kolonistów do tego kraju tak, iż liczba ich dosięgła 20 do 30 tysięcy. Otóż gdy przed miesiącem rozpoczęły się zamieszki w Seulu, stolicy Korei, z jednej strony Chiny wystąpiły z wojskiem, by uśmierzyć prowincyę podwładną, a z drugiej zrobiła to i Japonia, niby dla obrony swych licznych poddanych zamieszkałych w Korei. Stąd nieporozumienia i niesnaski pomiędzy temi potężnemi państwami Azyi, które mogą zakończyć się wielkim krwi rozlewem.

Jak się wojna ukończy i które państwo zwycięży, trudno dziś przewidzieć. Zaznaczyć jednak wypada, że państwa europejskie stoją po stronie Japonii, która więcej przedstawia widoków do przyjęcia cywilizacyi europejskiej, niż oddawna z uporu znani Chińczycy.

Wreszcie nadmienić wypada, że jakkolwiek Chiny są państwem olbrzymich rozmiarów — a liczba mieszkańców jest może dziesięćkroć większa od liczby mieszkańców w Japonii, to jednak Japonia ma armię zorganizowaną według najlepszych wzorów europejskich, zaopatrzoną w broń doborową najnowszej konstrukcyi i wykształconych oficerów — oraz poważną flotę wojenną (okręty).

NOWINY.

— **Śmierć Arcyksięcia Wilhelma.** W ostatniej chwili przyszła bardzo smutna wiadomość telegraficzna, dotycząca rodziny Najj. Pana. Oto w mieście niemieckiem Baden Arcyksiążę Wilhelm, inspektor jeneralny artyleryi, spadł z konia tak nieszczęśliwie, że w kilka godzin opatrzony ostatniemi Sakramentami, życie zakończył mając lat 67. Arcyksiążę Wilhelm jest bratem Arcyksięcia Albrechta, naczelnika armii austryackiej, a stryjem Najj. Pana. Odznaczał się wielką nauką w rzeczach wojskowych, walczył w bitwie pod *Koenigrätzem*, a był przytem bardzo dobrotliwego charakteru. W całej monarchii wypadek ten wywołał głęboki smutek.

— **Wycieczka na wystawę.** Od p. Stafieja otrzymał *Krakus* następujące pismo: Wycieczka włościan powiatu krakowskiego na wystawę do Lwowa, projektowana na d. 12 i 13 sierpnia b. r., z powodu nieprzewidzianych przeszkód została odroczona na czas późniejszy. Termin jej ostateczny zostanie we właściwym czasie ogłoszony i podany do wiadomości interesowanych.

— **W Harklowy** pod Bieczem wszczął się w sobotę d. 21 lipca b. r. po południu z niewiadomej przyczyny pożar w tamtejszym kościółku i zniszczył go doszczętnie tak, że prócz jednego obrazu nic nie zdołano uratować. Wskutek tego nabożeństwo następnego dnia musiało być odprawione przed tymczasowym ołtarzem pod gołem niebem. Ponieważ gmina jest ubogą i nie może przeprowadzić odbudowania kościółka o własnych siłach przeto tą drogą udaje się do publiczności, ażeby jej składkami na ten pobożny cel dopomódz raczyła. Wszelkie datki na odbudowanie kościółka przyjmuje X. Hański, proboszcz w Harklowy p. Skołyszyn.

— **Jan Liszewski**, założyciel i kilkoletni redaktor i wydawca *Gazety Olsztyńskiej*, zmarł w Olsztyniej, licząc lat 42. Nieboszczyk urodził się w Nowym Klebarku pod Olsztynem, gdzie ojciec jego był kowalem wiejskim. Rodzice, aczkolwiek niezamożni, oddali syna do gimnazyum w Runsberdze, gdzie ś. p. Jan dobre robił postępy. W czasie walki kulturnej uczęszczał krótki czas do gimnazyum w Reszlu. Sprawował czas jakiś obowiązki nauczyciela domowego w Królestwie Polskiem, poczem odsługiwał w Toruniu wojskowość, jako jednoroczny ochotnik. Stąd zajął skromną posadę nauczyciela elementarnego i pracował przez lat kilka w Bredynku i Raszegu. W kwietniu r. 1886 zaczął wydawać *Gazetę Olsztyńską* i podtrzymywał piórem sprawę katolicko polską na Warmii aż do chwili, kiedy choroba zmusiła go usunąć się od redakcyi i życia publicznego. Cześć jego pamięci!

— **W Chełmnie** (w Prusach Zachodnich) Siostry Miłosierdzia będą obchodziły dwusetną rocznicę swego zakładu. Sprowadził je do Chełmna z Warszawy Biskup chełmiński X. Szczura w r. 1694 a zajął się niemi gorliwie. Obszerny klasztor po Benedyktynach zajęły Siostry dopiero w r. 1822. Podczas morowego powietrza w latach 1709 do 1711 wszystkie cztery Siostry padły ofiarą swego poświęcenia i przyszły 3 nowe z Warszawy. W r. 1863 Zakład Sióstr Miłosierdzia został wyniesiony na główny Dom Sióstr dla dyecezyi chełmińskiej, gnieźnieńskiej i poznańskiej, dla Warmii i Szląska. Podczas walki kulturnej odebrano im szkolę a nawet opiekę nad sierotami. Po walce kulturnej pozwolono im mieć ochronkę, ale nie pozwolono zakładać nowych domów, ani dawniejszych przywracać, prócz w Tczewie. Oby Pan Bóg zachował Zakład ten na dalsze wieki i w szczęśliwych warunkach!

— **Dzienniki rosyjskie** podają następującą urzędową notatkę: „Wobec tego, że urzędnicy kolejowi na linii warszawsko-terespolskiej tak między sobą, jak i w stosunku z publicznością, używają często języka polskiego, wbrew rozporządzeniu ministeryalnemu, które przepisuje wyłącznie język rosyjski, jako służbowy, przypomina się wspomniane rozporządzenie z uwagą, że winni, jakoteż ich bezpośredni przełożeni, karani będą wydaleniem ze służby“. Oto moskiewskie rządy!

— **Mordercę** bułgarskiego ministra Belczewa, zabitego w r. 1891, odkryła policya bułgarska w Rumunii. Nazywa się Arnaut, jest Serbem i przyznał się już do winy.

— **Londyn** 24go lipca. Między delegatami francuskiej i angielskiej policyi odbyła się w Scotland-yard konferencya, na której obradowano w sprawie roztoczenia dozoru nad obcokrajowymi anarchistami w Anglii i w sprawie odkrycia miejsca, gdzie fabrykowane są materyały wybuchowe.

— **Trzęsienie ziemi w Konstantynopolu**. Jeden z korespondentów pisze: Wystraszona ludność koczuje dotychczas w ogrodach publicznych i namiotach. Największe spustoszenia poczyniło trzęsienie ziemi w niewielkiej dzielnicy Edirné Capou. Na sto domów, składających tę dzielnicę, nawet dziesięć nie ostało się przed klęską. Zaczęto rozkopywać gruzy i w pierwszej chwili znaleziono ośm trupów. Łzy stanęły w oczach obecnych, gdy z pod gruzów meczetu wydobyto zwłoki matki i córki, splecione w śmiertelnym uścisku. Zwłoki przeważnie są oszpecone nie do poznania. Na przedmieściu Cadiceny trzy kobiety dostały pomięszania zmysłów z przestrachu.

W San Stefano szkody są bardzo znaczne. Powszechną uwagę budzi tu czyn przełożonego OO. Kapucynów. W chwili, gdy mieszkańcy San Stefano, nie wyłączając zakonników, w przestrachu biegli za miasto, nad morze, ojciec przełożony klasztoru przypomniał sobie, iż w kościele pozostał Najśw. Sakrament. Wśród gradu gzemsów i dachówek żarliwy zakonnik powraca do kościoła i przenosi monstrancyę w miejsce bezpieczne. Cudem jakimś zakonnikowi nic się nie stało. Cztery domy przyległe do klasztoru OO. Kapucynów, leżą w gruzach. Są to domy zamieszkałe przez tłumaczy ambasady angielskiej, panią Suchodolską, Włocha Pedrelli; w czwartym mieściła się szkoła francuska.

Przed godziną powróciłem z wysp Książęcych. Co za zmiany! Zamiast wesołych, uśmiechniętych w słońcu osad — gruzy; zamiast eleganckich domków — ruiny.. W Prinkipo szczególniej szkody są ogromne. W dzielnicy Amoudhia idziemy ulicą, po której bokach stoją domy dziwacznie pokrzywione, poskręcane, jakby w strasznych konwulsyach, z dachami pozrywanemi, z poodrywanemi okiennicami. Na pustych placach porozstawiano namioty, jeżeli na tę nazwę zasługują strzępy obrusów, prześcieradeł, kolder, mat plecionych, rozpięte na drągach, powtykanych w ziemię. W namiotach i obok nich kobiety i dzieci płaczą, żebrzą, oczekują na żywność ze stolicy... Ale pomoc, choć rozmiarami niemała, nie wystarcza. Najwięcej daje się uczuć brak materyału drzewnego na tymczasowe baraki.

Na całej wyspie tylko hotel „Calypso“ pozostał nietknięty.

— **Z Konstantynopola** donoszą, że skutkiem trzęsienia ziemi we wsi Mudjen, w pobliżu stolicy, wytrysło źródło mineralnej wody gorącej, które może się stać błogosławieństwem dla wspomnianej okolicy. W samym Konstantynopolu obraz największego zniszczenia przedstawia Bazar, ognisko ruchu handlowego, gdzie magazyny, biura, sklepy stanowią jeden niemal stos gruzów z pod których oddziały ratunkowe wydobywają z mozołem zwłoki ludzkie. Monumentalna brama do Seraskieratu, dzielnica złotników są prawie całkowicie zniszczone. W Zeirek, Vefa i Un-Kapu nie ostał się ani jeden minaret. Ze wszystkich stron nadchodzą wiadomości o znacznej liczbie rannych. W Carci pogrzebani zostali pod gruzami liczni kupcy. Na wyspie Oxia 21 Kroatów, którzy pracowali w kamieniołomach, pochłoniętych zostało literalnie przez roztwierającą się ziemię. W Balata runęła szkoła żydowska, w Halki szkoła marynarki. Straszne sceny rozegrały się w szpitalu w Jodikule. Obłąkani, świadomi niebezpieczeństwa, jakie im groziło, chcieli koniecznie gmach opuścić i pomimo oporu dozorców, udało im się uciec na dziedziniec, gdzie rzucili się na kolana i zaczęli się modlić o odwrócenie katastrofy. Niektóre mury i ściany szpitala zapadły się i pogrzebały kilka osób pod swemi gruzami. W San Stefano grozi runięciem fabryka zapałek. W Balata kobiety i dziewczęta, znajdujące się w chwili katastrofy w gmachu kąpielowym, wybiegły zeń przerażone, zostawiwszy ubranie.

— **Siła lotu ptaków morskich**. Korespondent pewnego dziennika amerykańskiego, który przez kilka lat bawił na brzegach morskich i wyśledził zwyczaje ptaków morskich, pisze, iż widział na własne oczy ptaka

z gatunku pelikanów, lecącego bez odpoczynku siedm dni. Ptak ten nawet żywi się w locie. Niektórzy zaręczają, iż może on sypiać w powietrzu, utrzymując się na skrzydłach nieruchomo rozwiniętych. Ptaki te wyróżniają się pomiędzy morskiem ptactwem długością ostro zakończonych skrzydeł i mają latać z szybkością 160 kilometrów na godzinę, nie czyniąc prawie poruszeń. Inny ptak morski, albatros, posiada skrzydła, które rozwinięte, mają długości 15 stóp. Może on latać bez przerwy 3 do 4 doby, lecz piątego dnia już musi odpoczywać. Jeżeli nie ma w pobliżu skały, siada na masztach okrętów.

— **Warto spróbować**. Wiadomo, że kiedy deszcze spadną podczas sianokosu i skoszona trawa poleży parę dni na deszczu, to już dobroć paszy psuje się i siano takie nie będzie miało tej wartości, co zebrane i wysuszone podczas pogody. Co gorsza to to, że siana takiego trudno przechować na zimę i gnije bardzo łatwo.

Otóż łatwy i wypróbowany na to sposób podaje jeden z gospodarzy do *Gazety świątecznej*, wychodzącej w Warszawie. Taki mianowicie:

Gdy deszcz ustanie, trzeba zmoczone siano wysuszyć, a po zwiezieniu pod dach układać warstwami. Na każdą zaś warstwę posypać soli, na nią znów siano przesypane trochę solą itd. Tak osolone siano ma kolor śliczny, niktby ani poznał, że było na deszczu, a bydło je zjada z wielkim smakiem.

We wsi Łaginy, w powiecie będzińskim, dwaj bracia na jednej łące mieli siano skoszone i jednakowo od deszczu zamokłe. Jeden wypróbował jak z solą siano przechować, drugi nie chciał tego użyć. Na tem się skończyło, że u pierwszego siano było zupełnie zdrowe i piękne, u drugiego zgniło i poszło na nawóz.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 31 lipca.

Płacono: za pszenicę białą od 6 złr. 75 ct. do 7 złr. 10 ct., za czerwoną od 6 złr. 40 ct. do 6 złr. 90 ct., za żółtą od 6 złr. 40 ct. do 6 złr. 90 ct., za żyto od 4 złr. 75 ct. do 5 złr. 25 ct., za jęczmień browarny od 5 złr. 50 ct. do 6 złr. — ct., na kaszę od 4 złr. 50 ct. do 4 złr. 75 ct., za owies od 6 złr. — ct. do 6 złr. 50 ct., za rzepak nowy od 9 złr. — ct. do 9 złr. 50 ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
5	*Nied. 12 po Św.* NMP. Śnieżnej.	4	17	7	11
6	Pon. Przemienienie Pańskie.	4	19	7	9
7	Wt. Kajetana wyzn. i Alberia.	4	20	7	7
8	Śr. Cyryaka m. i Maryana m. ☽	4	22	7	6
9	Cz. Kamilla z Lelis i Romana ww.	4	24	7	4
10	Piąt. Wawrzyńca i Filomeny p. m.	4	25	7	2
11	Sob. Zuzanny panny męcz.	4	27	7	—

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką".